



Antropologia jako przygoda



N o w e o k o l i c z n o ś c /

zin etnograficzny

lato 2025, nr 8

Temat numeru: **Antropologia jako przygoda**

Redakcja:

Koło Naukowe Studentów i Studentek Etnologii i Antropologii Kulturowej

Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

w składzie:

Adam Berliński

Olga Fisz

mgr Tomasz Makowski

Jan Jerzy Niemczyk

Zuzanna Nowak

Dionizy Pietrzyk

Julia Rutkowska

Kalina Szafkowska

Danuta Wolak

Julia Zaręba

Redaktor zina:

mgr Tomasz Makowski

Projekt graficzny okładki:

Monika Cichocka

Opieka naukowa:

dr Maja Dobiasz-Krysiak

Spis treści:

★ Od redakcji

- Antropologia jako przygoda - mgr Tomasz Makowski

★ Temat numeru: Antropologia jako przygoda

- Etnologia jako przygoda. Wywiad z prof. Wojciechem Olszewskim – Zuzanna Nowak, Julia Rutkowska
- Przygoda w słoiku – Danuta Wolak
- Końce świata – Dionizy Pietrzyk

★ Kącik ludowiedztwa

- Przygoda Kolberga - Adam Berliński
- Judosz – Jan Jerzy Niemczyk

★ Sztuka

- Strażacy – Kalina Szafkowska

★ Rubryka farmazoniarska

- Z myśli Sokratesa – Tomasz Makowski

★ Zabłyśnij!

- W krajach skandynawskich niemowlęta śpią na zewnątrz; Nowozelandczycy witają się czołami – Julia Zaręba
- Łemkowie, pisanki i Reinfluss – Olga Fisz

Drodzy Czytelnicy,

„Nowe Okoliczności” nabierają rozpędu – w odstępie półtorej miesiąca w Wasze ręce trafiają dwa wiosenne numery naszego zina. Nie dzieje się tak przypadkowo. Nowa edycja ma charakter nomen omen okolicznościowy, gdyż pewnym pretekstem do jej wydania jest zbliżające się wielkimi krokami zjazd absolwentów, studentów i sympatyków toruńskiej etnologii ETNOZŁĄCZE 2025, które odbędzie się 24 maja. W trakcie wydarzenia będziemy świętować 80-lecie naszego kierunku na UMK, 25-lecie jego reaktywacji po długiej przerwie. Oddamy także cześć odchodzącemu na emeryturę Panu Profesorowi Wojciechowi Olszewskiemu, współarchitektowi przywróconej na UMK etnologii i wieloletniemu kierownikowi naszej Katedry.

Hasło przewodnie zina odwołuje się do doświadczenia wspólnego prawdopodobnie wszystkim uczestnikom spotkania – mianowicie do przygody. Naszą dyscyplinę łatwo skojarzyć z przygodą. Mówi się, że na jej powstanie duży wpływ miały wielkie odkrycia geograficzne, najważniejsze dla jej powstania postaci podejmowały dalekie wyprawy, które z czasem legły u podstawy niezwykle inspirującego mitu. A jednak etnolog nie musi wyprawiać się na Trobriandy czy do krainy Kwakwaka'wakw, by przeżyć inspirującą przygodę. Interesują nas „podróże małe i duże, tam, gdzie kwitnące róże i dróg polnych kurze”. Etnologiczna przygoda nie tkwi wreszcie w samych podróżach. Obecnie doskonale wiemy, że potencjalny „teren” znajduje się wszędzie wokół nas. Przygodą jest sam snuty przez nas namysł nad naturą relacji między człowiekiem a kulturą – począwszy od pierwszych rozpoznaw i osobistych odkryć po systematyczne naukowe badania, od wycinkowych case studies po poszukiwania szerokiego oglądu i możliwości syntezy.

W najnowszym numerze naszego zina oddajemy przede wszystkim hołd etnologicznej przygodzie Pana Profesora Wojciecha Olszewskiego. O swoich doświadczeniach opowiada szeroko w wywiadzie, którego udzielił Zuzannie Nowak i Julii Rutkowskiej. Pozostałe teksty opowiadają o tych pierwszych antropologicznych przygodach, które jednak często wiążą się z długim osobistym doświadczeniem. Publikująca po raz pierwszy na łamach „Nowych Okoliczności” Danusia Wolak dokumentuje przygodę, w której uczestniczy cyklicznie, mianowicie rodzinne zbieranie bursztynów. Dionizy Pietrzak, wychodząc od osobistych doświadczeń, analizuje zjawisko fascynacji końcem świata. W „Kąciku ludowiedztwa” dawne ściera się z nowym. Adam Berliński przypomina nam etnograficzną przygodę Oskara Kolberga, Jan Jerzy Niemczyk natomiast po raz drugi już opowiada gwarą o swojej osobistej, trwającej wciąż przygodzie z kulturą górali śląskich. Wreszcie dzięki fotoreportażowi Kaliny Szafkowskiej przekonujemy się, jak wspaniałą przygodę może zapewnić w antropologii aparat.

Mamy nadzieję, że taki dobór tekstów zapewni Wam odrobinę czytelniczej przygody. Owocnej lektury!

mgr Tomasz Makowski

ETNOLOGIA JAKO PRZYGODA

Wywiad z prof. Wojciechem Olszewskim

Zuzanna Nowak, Julia Rutkowska: Dlaczego etnologia?

Prof. Wojciech Olszewski: Od dziecka interesowałem się Indianami (chyba już od przedszkola). Zdaje się, że to był dominujący powód wśród chłopców mojego pokolenia, zdających na etnografię, bo tak nazywała się wówczas oficjalnie nasza dyscyplina w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Na moim roku pasjonatami kultur indiańskich było 3 z 5 mężczyzn (dwóch pozostałych wybrało te studia przypadkowo, bez żadnych zainteresowań) i jeszcze jedna koleżanka. Na 15 przyjętych osób to dużo. Podobnie było wśród innych roczników we wszystkich pięciu ośrodkach uniwersyteckich, prowadzących wówczas studia etnograficzne. Wiem, że takie same motywacje miała znacząca część etnologów, antropologów kultury (jak zwał, tak zwał) z mojego pokolenia, zajmujących się później nauką, chociaż niewielu przy tej tematyce pozostało.

Muszę wyjaśnić, z czego brało się wówczas takie zainteresowanie. Nie żyliśmy w państwie wolnym. Dla Polaków Indianin był symbolem człowieka nieugiętego, odważnego, honorowego nawet wobec przeciwnika, ale też sprawnego fizycznie, odpornego na ból i wszelkie trudności. Jego stereotyp niemal pokrywał się z wzorem idealnym Polaka. Komuniści próbowali przejąć zainteresowanie młodzieży Indianami, przekierować je na swoje wzorce (np. przez teksty w takich czasopismach młodzieżowych, jak „Świat Młodych”), ale bez powodzenia.

Tu muszę dodać jeszcze jedną informację. Przez całe liceum (dobre) nikt z nauczycieli nie był w stanie mi wskazać, na jakich studiach mógłbym kontynuować swoje zainteresowania. Dopiero pod koniec szkoły średniej przeczytałem w miesięczniku „Kontynenty” krótką notatkę o amerykańistach z Pracowni Etnograficznej Instytutu Archeologii i Etnografii PAN w Poznaniu, kierowanej wówczas przez prof. Marię Frankowską. To zdecydowało ostatecznie o wyborze kierunku studiów i ich miejsca.

ZN/JR: Jak wspomina Pan studia etnologiczne w Poznaniu?

WO: Rozpocząłem studia z zakresu etnografii w roku 1976. Nie waham się twierdzić, że w ówczesnej Polsce (przynajmniej wedle mojej wiedzy) to były jedyne prawdziwe studia nie tylko na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wszyscy nam ich zazdrościli. Zaczę od egzaminu wstępnego. Obejmował on geografię, historię i język obcy. Na egzaminie z historii pytania były tytułami rozdziałów z licealnego podręcznika. Losuję pechowo – działania wojenne na ziemiach polskich podczas I wojny światowej. Podręcznik

zawierał taki rozdział, ale jedynym konkretem, była informacja o zbombardowaniu Kalisza. Mówię to, myśląc, że już po mnie. I w tym momencie właśnie poznałem (po raz pierwszy) wyjątkowość poznańskiego ośrodka etnologicznego. Do komisji przysiadła się ówczesny doc. Bogusław Linette i – bezceremonialnie przerywając egzamin i ignorując jej członków – zadaje mi pytania o powody zdawania na etnografię. Mówię o Indianach. Musiał to słyszeć dziesiątki razy, więc nic dziwnego, że pada kpiące: Karol May, Szklarski? Nie cierpiełem wizerunku Indianina w westernach, u Karola Maya, Jamesa F. Coopera i im podobnych. Miałem wtedy w domu wszystkie niemal (poza *Smutkiem tropików* Claude'a Lévi-Straussa) wartościowe książki o tematyce indiańskiej, jakie było można zdobyć w księgarniach – powieści, reportaże, publikacje popularnonaukowe. Moją pierwszą kupioną i przeczytaną od deski do deski etnologiczną monografią naukową były *Ruchy społeczne i religijne Indian hiszpańskiej Ameryki Południowej* (XVI-XX w.) Aleksandra Posern-Zielińskiego. Opowiadam, krytycznie, o swoich lekturach. Mówię, że zdaję do Poznania ze względu na panowską pracownię amerykańistyczną. Linette, który formalnie był „nikim”, mówi, nie oglądając się na historyków z komisji: „Dziękuję Panu”. To oznaczało „5” – choć powinienem oblać – i przyjęcie na studia. Po prostu, on, wbrew zasadom panującym w komunistycznym państwie, był oddelegowany nieformalnie przez władze ówczesnej Katedry Etnografii do egzaminów, by wylapywać pasjonatów. Tak było wówczas tylko w Poznaniu! Tak było też później. Pasjonaci byli wspierani przez kadrę. Mówiono, że możemy, nawet musimy, podważać autorytety. Kiedy chcieliśmy coś ważnego przedyskutować, wykładowcy – także profesorowie – spotykali się z nami nie raz poza uczelnią, nawet w swoich mieszkaniach.

Kierunek nazywał się, zgodnie z decyzją politycznych władz kraju, etnografią, jednak nasi wykładowcy mieli orientację w tym, co się dzieje w światowej antropologii, i to nam przekazywali. Mogliśmy dowolnie kształtować swoje naukowe zainteresowania, organizować wyprawy etnologiczne w wybrany zakątek świata. (Nie było tak w żadnym z ówczesnych krajów „demokracji ludowej”).

Prof. Aleksandra Cofta-Broniewska z archeologii zaczęła swój pierwszy wykład od uświadomienia nam, że studia to nie tylko nauka, ale – przede wszystkim – najpiękniejszy okres w życiu, i że nie możemy tego zmarnować. (Powtarzam to każdemu, nowemu rocznikowi naszych studentów). Wybaczano nam różne błędy wynikające z pychy młodości (mi osobiście też, dlatego przypominam sobie swoje studia, kiedy student zrobi coś głupiego, zanim go ocenię).

Nie było takich drugich studiów w PRL-u ani – tym bardziej – w całym obozie socjalistycznym! Nie było!

ZN/JR: Czy jest jakieś wspomnienie związane z pracą w muzeum, do którego lubi Pan wracać?

WO: Do Muzeum Etnograficznego w Toruniu trafiłem w roku 1981, po wielu perturbacjach, związanych z poszukiwaniem pracy. Objąłem jednoosobowy Dział Rybołówstwa i Innych Zajęć wodnych. To było dobre rozwiązanie, ponieważ jestem wędkarzem. Poznałem dzięki temu i wbrew ówczesnemu dyrektorowi wielkiego, wspaniałego Człowieka – Panią Profesor (bo nikt inaczej nie mówił o prof. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej) i się z nią zaprzyjaźniłem. Brałem delegację na badania terenowe i jechałem do Węłcza Wielkiego, do rybaka z trzeciego pokolenia, Bronisława Jarockiego. Dwie noce na Wiśle w małej łódce wiosłowej z Bronisławem, któremu się buzia nie zamykała – z ust sływała encyklopedia

wiedzy o rzece, rybach, tragicznej i bohaterskiej historii Powiśla, w dzień odsypianie (pod pierzyną!) i konsumpcja ryb przygotowanych przez panią Jarocką. Po badaniach wracałem do Torunia z nową energią.

Jedno z piękniejszych wspomnień związane jest z zakupem łodzi rybackiej w Murzynowie pod Płockiem. Przekonałem dyrektora, że zamiast ponosić koszty wynajmu dużej ciężarówki z dźwigiem w celu przewiezienia jej do muzeum, lepiej spławić łódź Wisłą, wiosłując i robiąc dodatkowo fotograficzną dokumentację nadwiślańskich aktywności. Dobrałem dwóch kolegów i na początku października 1985 roku spłynęliśmy w ciągu trzy dni do Torunia, nocując po drodze m.in. na wiślanej wyspie, gdzie rozbiliśmy namiot na drodze, którą normalnie przechodziło stado zamieszkujących ostrów dzików. (Wcześniej wiedzieliśmy tylko, że nocują tam krowy). Ten spływ to materiał na dłuższą, barwną opowieść, zwłaszcza o przekraczaniu tamy we Włocławku i złowieniu przeze mnie dużego sandacza.

Pracując w muzeum byłem bardzo krytyczny (zasadnie) wobec naszego muzealnictwa, bo uważałem, że może być lepsze, bo takie miałem ambicje. Po przejściu na uniwersytet cierpiałem przez kilka lat na muzeowstręt. Zmieniło się to radykalnie po (konspiracyjnej) wizycie na zapleczu słynnego Muzeum Człowieka w Paryżu. Zobaczyłem mizериę tej bogatej instytucji i zrozumiałem, że polski muzealnik pracujący w siermiężnych warunkach socjalistycznego państwa jest wielki. (Ten wątek też mógłbym rozwinąć w dłuższą opowieść).

Odchodząc z muzeum myślałem, że mam za sobą sześć lat straconego życia. Dziś wiem, że było to sześć lat cennego, życiowego i etnologicznego doświadczenia, zwłaszcza dzięki poznaniu ludzi, których inaczej bym nie spotkał.

ZN/JR: Jak na przestrzeni lat zmieniły się studia etnologiczne?

WO: Studiowałem w drugiej połowie lat 70-tych XX wieku. Część wykładowców przekazywała nam wiedzę o aktualnych trendach w światowej antropologii. Nie mogłem jednak jako student dotrzeć do przedwojennych studiów z zakresu procesów narodowościowych. Musiałem czerpać wiedzę o nich z cudzych, ocenianych opracowań. (Trzeba tu podkreślić, że większość badaczy stosowała autocenzurę, żeby uniknąć kłopotów z publikacją).

W Poznaniu mogliśmy wysłuchać wykładów Polaka z czeskiej części Śląska Cieszyńskiego i Serbołużyczanina z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nigdzie indziej takich możliwości w czasach komunistycznych nie było. Kiedy jednak pod koniec studiów zażądaliśmy ich reformy i odpolitycznienia, zostaliśmy spacyfikowani (radykalnie, choć bezkosztowo).

W Poznaniu było oczywiste, że etnolog, antropolog (oficjalnie wciąż jeszcze etnograf) może interesować się każdą manifestacją kultury. Z drugiej jednak strony część wykładowców uczyła nas swoistego ludolubstwa. Fetyszyzacji najstarszych informatorów, przedmiotów wydobywanych z chłopskiego śmietnika. Fetyszyzacji ustrukturyzowanego wywiadu etnograficznego z pełnymi danymi o informatorze. Wszystkie religie mogły być piękne oprócz chrześcijaństwa. Chłopu polskiemu miało się wydawać, że jego obrzędowość jest chrześcijańska, gdy – w rzeczywistości – jest pogańska. Polacy na Kresach mieli być polskimi panami uciskającymi litewskich, białoruskich i ukraińskich chłopów, ale inne kultury, nawet te najbardziej okrutne wobec własnej społeczności i sąsiadów, mogły być przedmiotem fascynacji. Inteligentny student radził już sobie z tym dualizmem w dydaktyce

studiów etnograficznych. Inteligentny, najbardziej zawzięty w zdobywaniu wiedzy. Inteligentny mógł też jednak pójść drogą kariery (na pierwszym roku studiów usłyszałem propozycję, że jak zapiszę się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, dalsza nauka pójdzie lżej – nie skorzystałem).

Po okresie socjalistycznym etnologia, antropologia kulturowa zyskała pewną wolność ideologiczną. Dzisiaj, jest (powinna być) już tylko (aż) sztuką rozumienia drugiego człowieka w jego uwikłaniach kulturowych. Mam nadzieję i wrażenie, że tak jest nauczana przez większość wykładowców. Niestety wciąż na uczelniach przekazywane jest też studentom swoiste ludolubstwo, wciąż też fetyszyzowane są techniki badawcze z epoki, kiedy etnologia była historią kultury, a jedyną uznaną formą dokumentacji był zapis rozmowy kwestionariuszowej bądź jej nagranie.

Muszę tu podkreślić jeszcze jeden aspekt studiów etnologicznych, antropologicznych. Kiedy ja je podjąłem, średnia pensja w Polsce wahała się między 10 a 20 dolarów USA. Natychmiast po rozpoczęciu zacząłem, wraz z kolegami, organizować wyprawę do Ameryki Południowej, której koszty liczyć należało w wielu tysiącach dolarów. Mieliśmy swoją pasję, zapał, wsparcie duchowe wykładowców i się nie poddawaliśmy. Dziesięć lat temu zdobyłem grant umożliwiający naszym studentom wyjazd na Syberię, pierwszy z tego programu na UMK. Okazało się, że największym problemem nie było zdobycie tych pieniędzy (na przelot i pobyt na Syberii naszych studentów) ale zgromadzenie minimalnej liczby dziesięciorga chętnych, których jedynym kosztem miał być dojazd na warszawskie lotnisko.

ZN/JR: Jak wspomina Pan swoje kierownictwo w katedrze?

WO: W roku 1999 dostałem polecenie zorganizowania studiów etnologicznych po kilkudziesięcioletniej przerwie. Był to efekt starań grona kolegów, często zakulisowych negocjacji i wielkiej przychylności dziekana prof. Janusza Małka. W roku 2001 zostałem kierownikiem Zakładu Etnologii, w roku 2003 samodzielnej już Katedry. Czemu ja? Nie było to łatwe. Władze uczelni miały inną wizję, ale zaważyła zdecydowana postawa kolegów z zespołu.

Kiedy zdecydowaliśmy się i wywalczyliśmy usamodzielnienie instytucjonalne naszej katedry, błyskawicznie wyposażyliśmy wszystkie gabinety naszych pracowników i doktorantów. Każdy pracownik miał zapewnione koszty udziału w zewnętrznych konferencjach, podobnie student, jeśli uzyskał akceptację swojego referatu przez pracownika Katedry. Nigdy pod moim kierownictwem nie zdarzyło się, by pracownik lub student nie wziął udziału w zagranicznej konferencji z zaakceptowanym wcześniej wystąpieniem. Nikomu nie zabrakło środków na badania. Mieliśmy pieniądze na międzynarodowe wymiany studentów, na zaproszenia polskich i zagranicznych gościnnych wykładowców za godziwą zapłatą. Wydawaliśmy z własnych środków czasopismo „Okolice” – jedyne takie w Polsce. Publikacje w tym periodyku pomogły naszym studentom i absolwentom w zdobywaniu nagród i miejsc pracy. To wszystko udawało się, bo decydowałem się (na ogół skutecznie) na walkę z każdym, kto próbował nam szkodzić, ale też dlatego, że kibicowało mi znaczące grono profesorów z innych kierunków.

Dużym problemem było zdobycie zewnętrznych wykładowców. Mieliśmy jedną zasadę – szukamy najlepszych, ale szanujących godność studenta. Jeżeli ktoś nie szanował tej godności albo np. pani sekretarki, nie mógł liczyć na dalszą współpracę, nawet (właściwie – tym bardziej) gdy był „ustawiony”.

Kierownictwo Katedry wymagało dużej inwencji (i fantazji) nie tylko przy podziale finansów na Wydziale, ale też przy wyciąganiu studentów, doktorantów, czasem też pracowników z kłopotów. Student ma prawo zrobić coś nawet skrajnie głupiego (sam nie byłem świętym), pracownik też może mieć gorszy okres. Przekonując komisje, dziekanów do przyznania „naszym” większych pieniędzy, czy do tego, że trzeba im pomóc, czułem często, że nos mi rośnie jak u Pinokia. (Zawsze jednak w dobrej sprawie). Na szczęście na ogół udawało mi się zyskać przychylność stosownych komisji i dziekanów. W ratowaniu studentów nieoceniona była pomoc pani Agnieszki Korzybskiej z dziekanatu. Ukończyła pedagogikę specjalną, więc rozumiała i doceniała, że nasi studenci odbiegają od schematów. Do dziś wspominam te batalie z uśmiechem. Nieliczne porażki jednak bolą.

I jeszcze jedna ważna konstatacja. Do końca mojej kadencji odbywały się otrzęsiny, integrujące wszystkie roczniki i kadrę. Odbywało się też wiele imprez towarzyskich, niezapomnianych. Bawiliśmy się w gronie kadry lub ze studentami, często tak długo, aż obsługa lokalu nie chciała już naszych pieniędzy, bo nie miała sił na dalszą pracę. To nas zbliżało.



Fot. Prof. Wojciech Olszewski i pierwsza rybka z Irtysza. Archiwum prywatne.

PRZYGODA W SŁOIKACH

Bursztyn od wieków zajmuje wyjątkowe miejsce w polskiej kulturze. Nazywany „złotem Bałtyku”, przez stulecia łączył świat ludzi i natury. Był amuletem i ozdobą, śladem po tym, co żyło, i znakiem tego, co święte. Obecny w dawnych wierzeniach, legendach i mitach – tkwił między sacrum a profanum. Przechowywany w muzealnych gablotach i babcinych szkatułkach szeptał historie starsze niż słowa. W bursztynie zastygał czas – zaklęty w kropli żywicy, która przetrwała burze, fale i spokojne noce.

Dla mnie bursztyn nie jest tylko przedmiotem, jest też opowieścią, a opowieść to coś, co żyje. To szept wiatru pchającego fale na brzeg, to błysk wśród wodorostów, na który czekały oczy. To dłoń sięgająca nie tylko po skarb, ale po pamięć. Bursztyn to podróż – nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, zamarznięta łza lasu sprzed milionów lat, którą morze wypchnęło na powierzchnię.



Zbieranie bursztynów jest w mojej rodzinie rytuałem – prostym, ale świętym. Kilka razy w roku jeździmy nad Bałtyk, aby odciąć się od chaosu miasta. Nieważna jest dla nas pogoda: czy prószы śnieg, pada deszcz, czy wiatr sypie nam w oczy piach. Dla nas sezon trwa zawsze. Każda wyprawa jest jak ekspedycja – mała misja badawcza, podróż w nieznanne. A każdy znaleziony kawałek bursztynu – jak znalezisko archeologiczne, cichy bohater własnej opowieści.

Podróż zaczynamy, gdy plaża jeszcze śpi, a mgła unosi się nad wydrami jak wspomnienie snu. Termos z herbatą, ciepłe ubranie, prowiant i ta wyjątkowa cisza, jakby morze wstrzymało oddech.

Zbieranie bursztynów to sztuka patrzenia. Trzeba nauczyć się odróżniać fałszywy blask plastiku od tego, co prawdziwe. Trzeba iść powoli, w

skupieniu, z pochyloną głową. To wymaga cierpliwości, wyciszenia, gotowości na to, że najważniejsze rzeczy nie krzyczą, tylko czekają. A może właśnie to czyni z tego rytuału antropologiczną przygodę?

Bo właśnie w tym widzę antropologię jako przygodę. Nie tylko w obszernych tomach i egzotycznych podróżach, ale w tej cichej codzienności, w uważnym byciu blisko. W szukaniu sensu w tym, co powtarzalne, rodzinne, pozornie zwyczajne. Antropologia to umiejętność dostrzegania głębi w tym, co mamy pod ręką: w dłoniach babci, w gestach rodziców, w zapachu żywicy i skrzypieniu piasku pod butami.

Antropologia uczy patrzeć inaczej – szerzej, głębiej, czulej. Uczy dostrzegać historie ukryte w przedmiotach, pamięć osadzoną w krajobrazie, sens w tym, co wspólne. Każdy słoik pełen bursztynów – a mamy ich sporo – jest jak trofeum po zakończonej przygodzie. Każdy błysk to kawałek wspomnienia, maleńki dowód na to, że byliśmy tam razem.

Może właśnie dlatego ta prosta czynność zbierania jest dla mnie przygodą. Bo w świecie, który nieustannie się zmienia, są rzeczy, które trwają. Jak brzeg morza o świcie, rytm fal, dłonie rodziców, ciepło mimo chłodu poranka. Jak maleńki, złoty kawałek bursztynu w kieszeni, niemy świadek naszych historii.

Danusia Wolak

Końce Świata

Rok 2012 był trzynastą lat temu. Trzynastą lat temu 21 grudnia miał nastąpić koniec świata.. Telewizja, gazety, radio, ale i media społecznościowe głośno komentowały zapowiedzianą apokalipsę – nie było osoby, która nie słyszałaby o tym fenomenie. Niektórzy byli przekonani, że zbliża się nasz koniec. Przygotowywali się na najgorsze, oczekiwali anomalii pogodowych, klęsk przyrodniczych i istnego chaosu, który miałby zniszczyć wszelkie życie na ziemi. Ludzie kontaktowali się z astronomami, wysyłali listy do NASA. Ostatecznie nic się tego dnia nie wydarzyło, a mimo to zapadł on bardzo w mojej pamięci. Dziwne, prawda? Dziwne z tego względu, że przynajmniej raz na miesiąc, raz na dwa miesiące, słyszymy i widzimy clickbaitowe artykuły o rozpędzonych kometach pędzących w stronę Ziemi lub o tym, że przepowiednia ludu X spełni się dnia Y i wszyscy zginiemy, cierpiąc katusze.

Jaki jest więc związek między mną a majańską (źle zinterpretowaną) przepowiednią końca świata? Odpowiedź jest prosta – były to moje siódme urodziny. Chyba najgorsze w moim całym życiu, ponieważ krzyczący nagłówek „Faktu” z grafiką kamiennego, okrągłego kalendarza Majów do dziś czasami przelatuje przez mój umysł, przypominając mi, jak bardzo obleciał mnie strach, od stóp do głowy. I w tym wszystkim nie pomagali moi bliscy, którzy nie brali moich obaw na poważnie, a jeden z wujków uporczywie żartował, że dziś będzie deszcz komet, które zniszczą nasz dom rodzinny i że świat się skończył. Ja, naiwne dziecko pogrążone w

przerażeniu, schowane pod stołem, błagające Wszechświat, żeby nie wybuchał w dniu moich urodzin... Tak, to zdecydowanie były moje najgorsze urodziny.

Wypadałoby pochylić się nad tym, dlaczego my, ludzie, tak bardzo szukamy naszego końca, bo jak inaczej zinterpretować to zjawisko? Dlaczego tak bezowocnie obserwujemy nieboskłon w celu dostrzeżenia asteroidy, która zakończy nasze istnienie? Ludzka fascynacja zagładą i możliwościami przewidzenia tego, jak będzie wyglądał nasz ostatni dzień, jest w pewien sposób uzasadniona. Łatwiej jest chyba przygotować się do końca, gdy będziemy wiedzieć, jak przebiegnie, kiedy nastąpi. Ale czy to dobrze?

Na ostatniej stronie „Faktu” zawsze znajdowały się informacje spoza polskiego podwórka. W dzieciństwie czytanie artykułów o chwytliwych nagłówkach było dla mnie czystą przyjemnością i swoistym oknem na świat, nawet jeśli później rodziły we mnie one irracjonalną obawę przed lotniskami ze względu na zapis o zmutowanych wszach rozprzestrzeniających się na cały glob ze Stanów Zjednoczonych, przez co należy unikać miejsc, w których przebywają duże ilości ludzi z innych państw, a także silny lęk przed ebolą, krwistą gorączką z Afryki. Jednak ten urywek o kalendarzu majańskim przeraził mnie najbardziej. Zmroził mi krew w żyłach, zaburzył moją harmonię i doprowadził do zniszczenia mojej imprezy urodzinowej, bo wtedy jeszcze krytyczna ocena wiadomości napływających z zewnątrz była u mnie... niezbyt rozwinięta, na niskim poziomie.

Katastrofa, dążenie do jej przewidzenia. Postrzegam to jako próbę wiary, próbę odnalezienia odpowiedzi na to, co nas czeka, co jest prawdą, a co nie. Dylematy dotyczące wiary nękały rodzaj ludzki od zawsze i nie dotyczyły tylko naszej zagłady, ale i naszego początku, bo skąd się wzięliśmy? Jesteśmy z gliny czy od mały? Mamy zarazem piękną, ale i męczącą tendencję do poszukiwania wiedzy na temat wszystkiego. Każda wiadomość, nawet i najmniejsza, absurdalna informacja o tym, że naukowcy z X kraju zauważyli Y obiekt, który pędzi w kierunku naszej planety z przerażającą prędkością, który uderzy w nas dnia Z i spali nas na popiół, przyciąga naszą uwagę. Motywuje nas strach, ciekawość czy naiwna wiara w to, że jesteśmy na tyle silni, aby to powstrzymać?

Jedna rzecz jest pewna: kiedyś nasz czas się skończy, a kiedy – to nie jest ważne, bo koniec jest nieuchronny. Nie jesteśmy nieśmiertelni, a to, czy kalendarz Majów zakończył jeden cykl, to, że asteroida przeleciała obok Ziemi, to, że według przepowiedni Ojca Pio przez trzy dni będzie panował istny koszmar na powierzchni naszej planety i wszyscy umrzemy, nie ma znaczenia. Znaczenie ma teraźniejszość. Zamartwianie się zagładą niczego nie odroczy, więc usiądź, weź tę książkę i przeczytaj chociaż parę stron, zrób herbatę swojemu partnerowi i czule go pocałuj, wyjdź ze znajomymi, nie bój się. Kto wie? Może jutro nie będziesz w stanie. A może będziesz?

Dionizy Pietrzyk

Przygoda Kolberga

Oskar Kolberg, jeden z najwybitniejszych polskich etnografów XIX wieku, swoją przygodę z dokumentowaniem kultury ludowej rozpoczął w sposób, który z początku nie zapowiadał wielkiego sukcesu naukowego. Urodzony w 1814 roku w Przysusze, od najmłodszych lat wykazywał zainteresowanie muzyką i folklorem. Wychowany w inteligenckiej rodzinie o bogatych tradycjach kulturalnych, zetknął się z różnorodnością językową i obyczajową Królestwa Polskiego, co miało istotny wpływ na jego późniejsze wybory życiowe.

Kolberg początkowo kształcił się jako muzyk – studiował kompozycję w Warszawie, a następnie kontynuował naukę w Berlinie. Muzyka była jego pierwszą pasją, jednak już w czasie studiów zaczął dostrzegać ogromną wartość pieśni ludowych, które różniły się znacznie od utworów muzyki klasycznej. Właśnie dzięki muzyce przyszły badacz zwrócił uwagę na bogactwo kultury ludowej – melodie, teksty pieśni, obrzędy – i zaczął je systematycznie dokumentować. Wkrótce muzyczne zainteresowania przerodziły się w szeroką fascynację całością życia ludowego, językiem, zwyczajami, wierzeniami i codziennością mieszkańców wsi.

Momentem przełomowym była jego decyzja o publikacji zbioru pieśni ludowych w 1839 roku, który spotkał się z dużym zainteresowaniem środowisk naukowych i artystycznych. To właśnie wtedy Kolberg uświadomił sobie, jak niewiele wiadomo o kulturze wsi i jak pilna jest potrzeba jej dokumentowania. Zaczął więc podróżować po różnych regionach Polski – najpierw Mazowszu i Lubelszczyźnie – zbierając materiały terenowe. Praca ta była niezwykle żmudna: oprócz zapisywania pieśni rozmawiał z mieszkańcami, uczestniczył w obrzędach, robił notatki dotyczące strojów, tańców, legend i przesądów.

Kolberg nie miał formalnego wykształcenia etnograficznego, ale jego metody pracy cechowała skrupulatność, cierpliwość i pasja. Jako jeden z pierwszych badaczy w Polsce zrozumiał, że kultura ludowa to nie tylko ciekawostka, ale nieocenione źródło wiedzy o tożsamości narodowej. Dzięki jego zaangażowaniu powstało monumentalne dzieło – seria *Lud*, obejmująca opisy kultury ludowej kilkudziesięciu regionów dawnej Polski.

W ten sposób Kolberg przeszedł drogę od muzyka do pioniera polskiej etnografii, a jego praca po dziś dzień pozostaje fundamentem badań nad kulturą ludową. Jego przygoda

z etnografią była efektem osobistej wrażliwości, ciekawości świata i głębokiego szacunku dla zwykłych ludzi i ich tradycji.



Adam Berliński

JUDOSZ

Roztomili,

nie tak dawno, bo zaraz przed Wielkanocą, jak co roku brołech łudział w skoczowskim pochodzie z Judoszem i rod podzielił się paroma słowami na ten temat.

Tradycjo chodzenie z Judoszem jest fest starożytności i kiedyś jej zasięg był większy, ale została się tylko w Skoczowie. Wcześniej zaczynało się w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek. Należało wtedy pójść nad Wisłą (rzeką) i łobmyć tam rynce, gymbym, szłapy, albo aji ganc do niej włożyć. Nie wiem czy jeszcze kiedyś to robi, musiałbyś się pójść, łudzić i luzność, ale jakosi nigdy mi się nie chciało.

Się *Judosz* to trzymetrowa słomiana kukła ozdobiona kónskami kolorowej bibuły, na której karku wisi symboliczne trzydzieści srebryników. W przeciwieństwie do podobnych łobryndów z innych części Polski, Judosz nigdy nie miał być łupodobny do Żyda. W całym tym kukłym łoblyko się tylko fojermón, żeby poradzić chodzić.

W tym roku pochód zaczął się jako dycki pod strażnicóm, z kierej w południe w Wielki Pióntek wyłoz Judosz z dwóma fojermónami wedla siebie, po bokach. Ci łoblyczeni byli w paradne hełmy i dzierżeli halabardy. Moc ludzi dookoła klekotała społym klektokami, gor dziecka, robiónc przy tym wielki larmo. Dodatkowóm zachentóm do klekotanio były powtarżone rytmicznie „słowa” *kle, kle, kle-kle-kle*. Z niedalekigo rotuza zagroło każdowo łodgrywane *Przez wodę koniczki* – niełoficjalny hymn Skoczowa. Czas był szumny. Za Judoszym uformował się bantujóncy tłum kierujóncy się w stronym rynku. Tam Judosz pokłonił się trzi razy przed rotuzym, wywołujónc tym chwily ciszy, zakończonóm kolejnym *kle, kle, kle-kle-kle*. Nieskorzij przeszli my rynek dookoła i po miniynciu kolyjnych dwóch hólic Judosz w takich samych łokolicznościach pokłonił się zaś trzi razy – przed kościołem katolickim. Potym pochód wrócił pod strażnicym, kany Judosz pokłonił się po roz łostatni – ludzióm, i spatki do nij wszedł.

Po pochodzie nikierzi, w tym jo, poszli do strażnicy, w kierej łodbyła się degustacyjo TatarczóWKi – to tako skoczowsko a fest gorzko gorzołka. Robi się jóm z korzynia tataraka – stela nazwa. Celem jej spożycio mo być łumartwiani się i podle mie tyn szmak taki cel ganc dobrze realizuje. Króm tego pije się jóm aji dło zdrowia, *na chroboka*.

We Wielkóm Sobotym łodbył się drugi pochód. Poczóntek był tyn sam. No może z tóm różnicóm, że ludzi było eszcze wiyncyj. Inakszy był natomiast finał tego przedsiymwzięcio – Judosza się pali, coby łodegnać z miasta wszycko, co złe. W tym roku dziepro poradziłech po roz piyrszy łuwidzić, jak tyn chachar zgorół ku ucieście Skoczowioków. Łorganizatorami całego wydarzenia było OSP Skoczów a Towarzystwo Miłośników Skoczowa.

Jan Jerzy Niemczyk

Słowniczek:	
kiejsi - kiedyś	rotuz - ratusz
jyny - tylko	každowo - codziennie
gymba - twarz	czas - pogoda
szłapy - stopy	szumny - ładny
ganc - całkiem	bantować - hałasować
kierysi - ktoś	nieskorzij - później
łuwidzić - zobaczyć	zaś - znowu
kónski - kawałki	spatki - z powrotem
kark - szyja	kany - gdzie
łoblykać się - ubierać się	nikierzi - niektórzy
	gorzołka - wódka

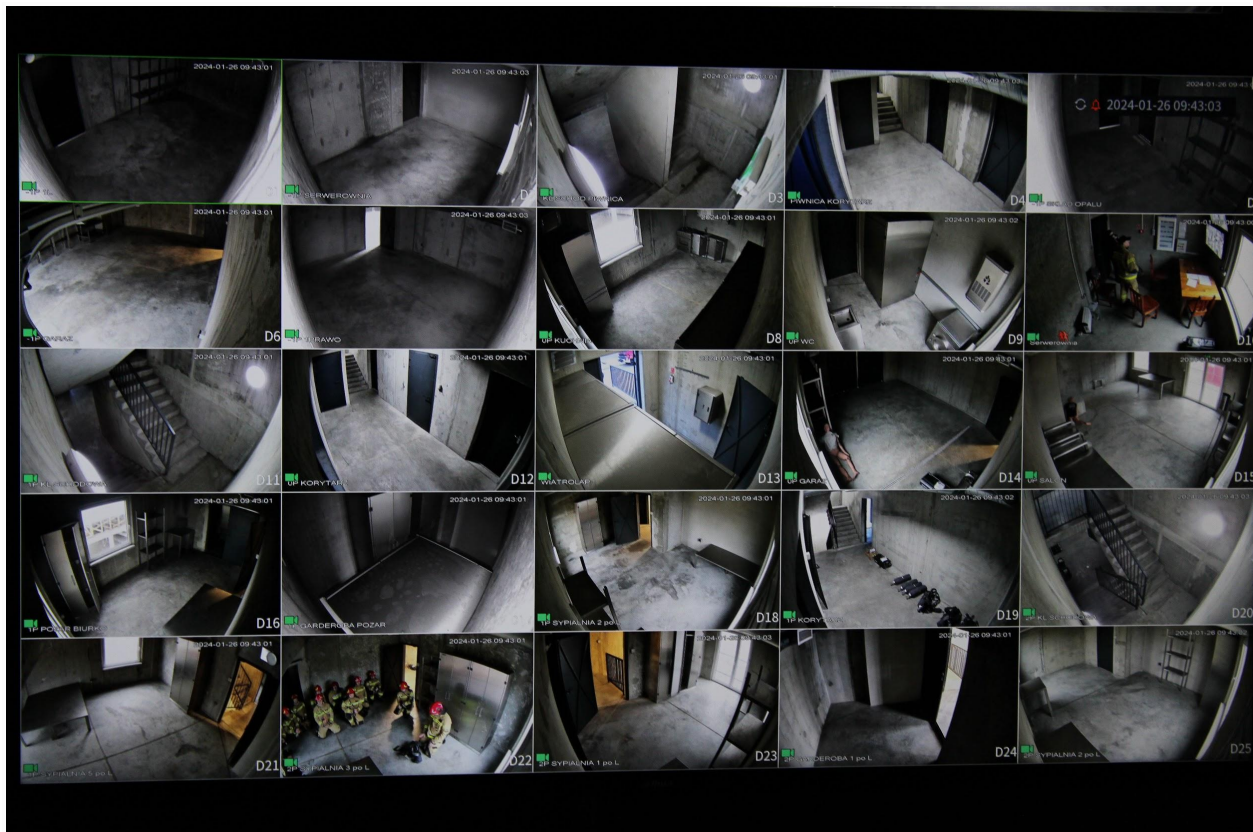
fojermón - strażak	stela - stąd
dycki - zawsze	podle - według
strażnica - remiza	króm - oprócz
wedla - obok	chrobok - robak
moc - dużo	dziepro - dopiero
społym - razem	chachar - niegodziwiec
gor - zwłaszcza	zgoroł - spalił się
larmo - hałas	

★ Sztuka



Studiowanie Etnologii/Antropologii kulturowej pozwoliło mi na wykonanie fotoreportażu w Szkole Podoficerskiej Państwowej Straży Pożarnej. Warto przy tym zaznaczyć, że wpływ na pozytywne rozpatrzenie mojej prośby o zgodę na fotografowanie zajęć w SPPSP miał również mój Tata (pracownik, nauczyciel kursu strażackiego), za co mu bardzo dziękuję. Nie pokazuję tu wszystkich fotografii, jakie udało mi się wykonać (ze względu na objętość naszego zina), ale mam nadzieję, że Wam, Drodzy Czytelnicy, mój fotoreportaż pomimo sporego okrojenia wyda się spójny. Zapraszam do oglądania!

Kalina Szafkowska









Z MYŚLI SOKRATESA

W przez wieki niesłusznie ignorowanym i praktycznie przez to zapomnianym dialogu platońskim pt. *Farmazejon* Sokrates omawia z uczniami równie rzadko przywoływany mit, jak mało który spośród opowieści ateńskiego mędrca trafiający w sedno natury ludzkiego losu. Mam tu na myśli mit o kurze Prometeusza i grze w jajo.

Jak twierdzi w dialogu Sokrates, Prometeusz nie był z początku pewny, w jaki sposób powołać nasz gatunek do życia. Pierwszy jego pomysł nie zakładał wcale użycia gliny – ludzie mieli wykluwać się z jaj złożonych przez pewną szczególną kurę pochodzącą z wyspy Awgos. Takie rozwiązanie wydało mu się wszelako zbyt niepoważne w zestawieniu z nadziejami, jakie w swoim przyszłym dziele pokładał. Co by pomyśleli sobie Olimpijczycy, gdyby te nowe istoty stworzone przez dumnego tytana wychodziły z jajek jakiejś kury? Kompromitacja projektu byłaby więcej niż pewna. Dlatego też, gdy po długich poszukiwaniach Prometeusz przypomniał sobie o plastycznych właściwościach gliny, z radością porzucił swój pierwotny pomysł. Pełen zapału od razu przystąpił do dzieła, zapominając zupełnie o kurze, która wciąż kręciła się w pobliżu. Gdy kończył lepić pierwszego z nas i z miłością wpatrywał się w swoje dzieło, kura podeszła i niezauważona zaczęła szukać nasionek w przygotowanym już na następnych ludzi materiale. Nim tytan zorientował się i ją odpędził, zdążyła połknąć kilka grudek wymieszanej z łzami gliny. Sytuacja, na pierwszy rzut oka bez znaczenia, z czasem okazała się niezwykle brzemienna w skutki.

Po upadku Prometeusza jego majątek został podzielony między mieszkańców Olimpu. Przedmiotem podziału była również kura z Awgos, którą otrzymał Hermes. Przemyślny bóg jako jedyny nie dał się zmylić pozorom zwyczajności, jakie sprawiało zwierzę, i pilnie je obserwował. Traf chciał, że chodząc w towarzystwie kury, nadepnął na jedno ze złożonych przez nią jaj. W tym samym momencie usłyszał krzyk. Obróciwszy się, zobaczył człowieka przygniecioneego przez skałę, która spadła nie wiadomo skąd. To był trop. Po wielu próbach, w których zginęło wielu ludzi, Hermes stwierdził definitywnie, że każde jajo kury z Awgos odpowiada jakiemuś żyjącemu na ziemi człowiekowi. W momencie narodzin człowieka dawna kura Prometeusza, za sprawą zjedzonej uprzednio gliny, składa nowe jajo. Losy tak powstałej pary pozostają ze sobą ściśle sprzężone. Hermes, jak przystało na greckiego boga, zobaczył w tym okazję do

zabawienia się kosztem ludzi. Przeniósł kurę na Olimp, a składane przez nią jaja zaczął umieszczać na odrobinę wklęsłym stole. Gdy jaj zebrało się odpowiednio dużo, zaprezentował swój projekt pozostałym bogom. Wymyślił bowiem grę, która doskonale nadawała się do zapelnienia nadmiaru wolnego czasu i uwolnienia Olimpijczyków od konieczności rozmawiania ze sobą. Oto jej zasady: na początku każdy z uczestników wybiera ze stołu jedno jajo i kręci nim. Następnie gracze po kolei wychylają się w stronę ziemi i, spoglądając to w dół, to na kręcące się jaja, zgadują, w czyje życie wprowadzili właśnie turbulencje. Gra z miejsca stała się sensacją. Bogowie kręcą to lekko, to gwałtownie, czasem starają się nadać jaju kierunek, a innym razem wrzucają je w ruch bez patrzenia. Jaja, które wskutek zbyt mocnego zakręcenia wypadały poza stół, początkowo zgodnie uznawali za wyłączone z gry. Szybko jednak się zorientowali, że o ile takie jajo nie zmieniło się w zupełną miazgę, wciąż może być z nim sporo zabawy. Co zaś z ludźmi, których jajo zostało wprowadzone w ruch? Cóż, nie trzeba być Sokratesem, żeby zobaczyć efekty niegasnącej popularności, jaką cieszy się ta rozrywka. Nie trzeba też w tym kontekście biec myślą do tragedii Edypa – wystarczy spojrzeć na pierwszego lepszego człowieka, który zostawił w mieszkaniu klucze i zatrasnął za sobą drzwi.

Jak czytamy w *Farmazejonie*, niektórym uczniom Sokratesa historia ta była nie w smak. Poniekąd przyznawali rację Prometeuszowi, uznając powiązanie początków ludzkości z kurą z Awgos za niepoważne. Zżymali się też, że nawet na tle wszystkich doznanych przez człowieka od bogów upokorzeń, pomysł gry w jajo jest zbyt upokarzający. Wszelako Sokrates swą zwykłą metodą krok po kroku doprowadził ich do zrozumienia właściwej myśli, którą chciał im przekazać. Mianowicie że żadna interpretacja ludzkiego losu nie jest zbyt bzdurna, śmieszna, niepoważna – farmazoniarska – o ile ukazuje jego naturę trafnie. Prawda o człowieku może skrywać się w najróżniejszych niepoważnych miejscach i przedmiotach. Może więc skrywać się i w jaju.

Tomasz Makowski

★ Zabłyśnij!



W krajach skandynawskich niemowlęta śpią na zewnątrz

Tak! I nie ma w tym nic szokującego! Jest to sposób na wzmocnienie odporności dzieci, który rodzice praktykują od wczesnych chwil życia swoich pociech, nawet przy minusowych temperaturach. Śpiące dzieci zostawia się w wózkach przed sklepami czy na balkonach, a rodzice twierdzą, że dzięki temu śpią one dłużej i są potem bardziej wypoczęte. Oczywiście ważne jest, aby hartowanie odbywało się stopniowo i racjonalnie.

źródło: <https://parenting.pl/spia-na-dworze-nawet-w-mroz-czyli-skandynawski-sposob-na-zdrowie>

Nowozelandczycy witają się czołami

„Hongi” – pod tą nazwą kryje się tradycyjne powitanie Maorysów, rdzennych mieszkańców Nowej Zelandii. Polega ono na złączeniu czoła i nosa, co w maoryskiej kulturze oznacza wymianę „oddechu życia”.

źródło: <https://palmtreeview.pl/zwyczaje-i-tradycje-nowozelandczykow-ktore-moga-cie-zaskoczyc>

Julia Zaręba

Łemkowie, pisanki i Reinfuss

Roman Reinfuss, polski etnograf, całe swoje życie badał kulturę ludową. Szczególnie interesowały go Karpaty i południowo-wschodnia Polska. Dzięki jego pracy ocalono od zapomnienia wiele cennych elementów kultury łemkowskiej i bojkowskiej: ikony, pisanki, zdobienia drewniane. Reinfuss napisał o tym kilka publikacji, min. *Łemkowie jako grupa etnograficzna*, czy *Sztuka ludowa w Polsce*. Więcej na ten temat dowiesz się pod adresem: <https://etnoznawcy.pl/biogram/roman-reinfuss>

Olga Fisz



Autorka okładki

Monika Cichocka - studentka UMK na kierunku architektura informacji (MISH). Miałam długą przerwę od tworzenia, ale bardzo chciałabym do niego wrócić.



Inspiracją do zaprojektowania okładki było skupienie się na słowie "przygoda". Kojarzy mi się z podróżami podczas, których często używamy map. Grafika przedstawia różne mapy, co symbolizuje nie tylko odkrywanie miejsc, ale również kultur i odmienności, które są podstawą antropologii.